



64 CzasKultury 2/2011

# Zarząd do spraw Lasu

O powieściach młodzieżowych rozmawiają  
Adam Lipszyc, Jerzy Borowczyk i Michał Larek

1 maja 1968, Szczecin  
fot. ze zbiorów Andrzeja Jałowiczora



Książki czytane w czasach szkolnych i licealnych pamięta się chyba przede wszystkim jako coś fizycznie namacalnego, jako stan dziwnego „haju” wywołanego głównie przez narracyjne odurzenie.

**Michał Larek:** Esej Bronisława Świdierskiego świetnie się zaczyna. Pełna emocji scena, która może stanowić efektowny początek opowieści o życiu jako nieustającym komentowaniu ważnych książek. Macie podobne wspomnienia?

**Jerzy Borowczyk:** Początek szkicu Świdierskiego mnie zaskoczył – prościutki concept. Książki czytane w czasach szkolnych i licealnych pamięta się chyba przede wszystkim tak – jako coś fizycznie namacalnego, jako stan dziwnego „haju” wywołanego głównie przez narracyjne odurzenie. Tak czytałem książki wojenne (można było kupić w kiosku serię z tygrysem, a w księgarni marynistyczno-wojenne rzeczy Pertka), Pana Samochodzika oraz Dzień Szakala Forsytha. Na lekcjach pod ławką, w domu podczas posiłków i w każdym innym czasie. No i ważna była możliwość gadania z kumplami, którzy czytali rzeczy podobne. W siódmej i ósmej klasie podstawówki przerwy lekcyjne i czas po szkole schodziły na kłótniach o bitwy morskie na Pacyfiku, o to, czy bliżej nam do Amerykanów z ich lotniskowcami, czy do japońskiego samurajstwa i kamikadze. Punkt obowiązkowy stanowiły także zeszyty z serii Typy broni i uzbrojenia, skąd przerysowywaliśmy okręty flot morskich oraz samoloty obu flot powietrznych.

**Adam Lipszyc:** Ja tam pod kołdrą niczego nie czytałem. W ogóle nie mam chyba jakichś szczególnych wspomnień z fizjologii czytania. Raz tylko naprawdę wpadłem na słup, kiedy zaczytałem się, wracając z biblioteki, rozbiłem sobie łeb, a za zniszczenie książki (której wcale nie pamiętam) musiałem zabulić. Nie brałem też kursów męstwa u Karola Maya ani u nikogo innego. To nie znaczy, że nie czytałem kawałków patetycznych, wręcz przeciwnie, ale nie sądzę, żebym się czegokolwiek z książek uczył. Brały mnie wzniosłe efekty, wielkie sceny, bardziej zresztą chyba katastrofy niż zwycięstwa. Moja rodzina czytała na potęgę, mam dwóch starszych braci, bez przerwy się ponad moją głowę przerzucano tytułami i różnymi kawałkami książek. Jednym z efektów tego wysokiego poziomu rodzinnego czytelnictwa było na pewno wieczne poczucie, że czytam za mało, i to na dodatek rzeczy zbyt dziecinne: strasznie chciałem czytać jakieś trudne książki, tak samo jak marzyłem o tym, żeby wreszcie zaczęła mi smakować herbata bez cukru. Z drugiej strony, skutek tego ciągłego gadania o książkach był też taki, że jest wiele rzeczy, których po prostu nigdy nie przeczytałem, bo mi je opowiedział brat (ten średni, nie najstarszy). Na przykład Panów Samochodzików czytałem chyba tylko ze dwóch, bo resztę znałem od brata i jakbym czytał. Jeszcze przed bratem opowiadaniem książek parała się zresztą moja matka, która ma kilka ulubionych rzeczy, zwłaszcza Annę Kareninę i Nędzników – czyta to na okrągło. No, i tych Nędzników opowiadała nam – mnie i bratu – podczas niekończących się wycieczek w Tatrach. Pomysł był taki, że chciała nas zagadać, bo inaczej marudziliśmy. Ale potem ona sama miała już dosyć opowiadania, za to my z kolei byliśmy wciągnięci po uszy i domagaliśmy się dalszych dramatycznych zwrotów akcji. Pamiętam, jak się targujemy, żeby opowiadała dalej – na przykład jeszcze do tamtego szlabanu. No, ale tych +

Nędzników i parę innych powieści Hugo potem naprawdę przeczytałem, pod wpływem matki. Skoro mowa o pięknych katastrofach: fakt, że Mariusz do końca uważa Thénardiera za wybawcę swojego ojca, jest dla mnie dotąd źródłem wzniosłej ekscytacji. Ale w podstawówce czytałem przede wszystkim w ślad za moimi braćmi (tak jak w ślad za bratem słuchałem Beatlesów), po nich czytałem wszystkie Tomki, Złoto Gór Czarnych, mnóstwo Niziurskiego, sporo Verne'a, zwłaszcza Podróż do wnętrza Ziemi, którą ześmy z bratem z jakiegoś powodu uwielbiali: potem jeszcze przez jakiś czas pisaliśmy sobie różne bzdury pismem runicznym. Do dzisiaj zresztą podnieca mnie nazwa Stromboli, przez lata sądziłem też na wpół świadomie, że pod ziemią może skrywać się zaginiony świat z epoki dinozaurów. Karczemne bzdury, ale trudno się uwolnić. Emancypacja od wzorów braterskich wypadała zazwyczaj marnie, wstyd się przyznać, ale namiętnie czytałem wychodzące w PAX-ie opowieści o Narnii. Ostatnio, wbrew słusznym oporom mojej żony, nabyłem te wszystkie tomy mojej córce, która się bardzo wciągnęła, ale moim zdaniem to nudy na pudy i całkowite sztywniactwo: brakuje tutaj tego, co mają najlepsze książki literatury dziecięcej, Muminiki czy Astrid Lindgren, jakiejś wolności od lęku, że coś się napisze nie tak, niezgodnie z zaplanowanym schematem. Lewis jest do bani, niezależnie już nawet od tej zenującej chrześcijańsko-patriarchalnej propagandy, którą uprawia w tym cyklu i której zresztą wtedy chyba w ogóle nie dostrzegałem. Na stronie: skoro mowa o Muminkach, to – o, jednak przykład wzniosłego zwycięstwa – do dzisiaj mam wielką gulę w gardle, kiedy myślę albo czytam, jak na końcu Komety powraca morze. Nie ma nic piękniejszego. Muminiki czytałem zresztą potem wiele razy, także jako nastolatek. No dobra, ale jakiś wkład w domowe czytelnictwo wniosłem, bo to za moją spr-

wą pojawił się u nas Tolkien, który potem stał pożarty przez moich braci i nawet chyba mojego ojca. To był mój triumf, chociaż te sukinkoty pewnie tego nawet nie pamiętają. Tej fantastyki w ogóle czytaliśmy dużo, od Lema począwszy, aż po Kroki w nieznanie, genialne antologie opowiadań pod redakcją Jęczyńka. Strasznie kręcił nas Człowiek z Wysokiego Zamku Dicka – o, następny od wzniosłych porażek. Wiele z tych fantastycznych produkcji czytałem już jednak jako pierwszy czy jedyny w rodzinie, także dlatego, że wychodziły dopiero później, kiedy moi bracia czytali już rzeczy całkiem poważne. Nie jestem pewien, czy to ja wymyśliłem Strugackich, chyba jednak parę ich książek stało wcześniej na półce, ale to na pewno ja byłem ich najgorętszym zwolennikiem. Trudno być bogiem, całkowita dziecinada, ruski patos, wiem, ale przeczytałem to chyba kilkanaście razy. Martwi mnie, że nikt nie wie, co to znaczy „szkielet faszysty przykuty do karabinu maszynowego”. Finałowa scena, kiedy bohater – wbrew zasadom – postanawia gwałtownie zainterweniować w politykę planety, której ma się tylko przyglądać, to wzniosłość czysta, ale żadne tam wzorce męskości. Do dziś też, kiedy zdarzy mi się iść bosso po ciepłej trawie i nie mieć w duszy swojej żadnych niepokojów – rzadka sprawa – myślę sobie, że jestem szczęśliwy jak fizyk zerowy (to z Próby ucieczki). Obok Trudno być bogiem i Żuka w mrowisku („Ptaki, zwierzaki pod drzwiami stały / Jak do nich strzelano, to umierały”) uwielbiałem też Ślimaka na zboczku. Zarówno te antyutopie z Zarządem do spraw Lasu, choć może są trochę zbyt proste, jak i przede wszystkim te kawałki o samym Lesie. Rozszalała, coś jakby popromienna natura, która wszystko topi i zagarnia, martwiaki, takie niby zwierzaki, ale roślinopodobne, bo można je trawomorem załatwić, w ogóle wszystko zarasta i trzeba co rano trawomorem chlapać, ospała wioska pełna dziwaków – to

chyba naprawdę nie jest fantastyka – Kaczonóg, któremu jest przyjemnie, bo gładzi sobie wykrzywioną stopę, ten facet, który mówi ciągle coś w rodzaju „ty nie chodź tam, ty nie chodź, był taki jeden, co chodził, to go zakręcili, na drzewie powiesili, a jak go zdjęli, to już nie chodzi, a i dzieciom powie, żeby nie chodzili” (to z pamięci). Mistrzostwo świata. To znowu katastroficzne patetyczności, obie próby ucieczki – z oszalałej struktury biurokratycznej i z oszalałej przyrody – kończą się wzniosłym fiaskiem. Jak teraz widzę, jeśli spojrzeć na Dicka i Strugackich, to wygląda na to, że najbardziej ekscytowały mnie wielkie porażki ludzi zmierzających do ogarnięcia rzeczywistości – taki pesymizm wydawał mi się zapewne poważny i dorosły, może już trochę miał coś z gorzkiej herbaty. Ale przecież chodziło tylko o wzniosłe ekscytacje!

**M.L.:** Adam, mówisz, że niczego się nie nauczyłeś z tych książek. To ciekawe. Jaki jest zatem efekt lektur z czasów młodości? Czy te ekscytacje, o których powiedziałeś przed sekundą, jakoś cię ustawiły, zaprogramowały?

**A.L.:** No, obawiałem się, że o to zapytasz. Sam nie wiem i chyba wolałbym nie wiedzieć. Bez wątplenia coś w tym względzie przed sobą ukrywam. Na pewno nie przypominam sobie, żebym w jakimkolwiek sensie utożsamiał się z bohaterami którejkolwiek książki. Pierwsze postacie, z którymi naprawdę się utożsamiałem, pojawiły się dopiero w liceum – to byli, obawiam się, Raskolnikow i bohater Kosmosu, którzy zresztą całkiem mi się pomieszali. Zbrodnią i karą, w jakimś takim nastoletnioturnym, żenującym odczytaniu, byłem całkiem zaczadzony, miałem też zupełnego świra na punkcie ostatniego zdania z książki Gombrowicza. Dziś zresztą znowu nie utożsamiam się z nikim w czytanych książkach, jestem już na to nazbyt scynicyzła. Oddaliłem się też chy-

ba od literatury wyraziście wzniosłej, teraz najbardziej podobają mi się Kafka i Bernhard. Ale może ukrywam przed sobą, że nadal szukam w czytaniu tego samego, tylko w jakiejś trochę bardziej skomplikowanej postaci? Po prostu tych momentów wielkiej zgrozy, wielkiego śmiechu czy wielkiego rozpoznania, kiedy rozumiesz absolutną trafność jakiegoś posunięcia czy sformułowania, tak uderzającą, że nie możesz dalej czytać? Coś w tym pewnie jest. Tak samo jak nie mogę oczywiście wykluczyć, że to „zaprogramowanie” czy „ustawienie” wykracza poza domenę upodobań czytelniczych. Ale tu już naprawdę nie będę luzował żadnego wyparcia. Zresztą czy poza literaturą jest miejsce na wzniosłość? Z czasem człowiek uczy się przecież, że świat jest paskudny w całkiem niewzniosły sposób.

**J.B.:** Czy nie było czasem tak, że powieści Verne’a, Tolkiena i Strugackich fundowały ci odrębny i dość szczególny świat? Gdy teraz – z twojego powodu – czytam Ślimaka na zboczu i wracam do dawnej (ale bynajmniej nie dziecięcej czy młodzieńczej) lektury Władcy pierścieni, myślę o nigdzie indziej w obcowaniu z literaturą nie zaznanym efekcie pochłonięcia przez tak zwany świat przedstawiony. Dukaj powiedziałby, że jako czytelnik doświadczyłem, doświadczam imersji. Gdy wchodzę z hobbitami do Fangoru albo wciągam mnie tajemnica Lasu u Strugackich, doznaję powtórki, no – właśnie czego? Po prostu mroku, grozy tych światów i pragnienia zgłębienia, rozszyfrowania tego, co tam jest.

**A.L.:** Tak, coś w tym musi być. Dlatego też zresztą tak trudno powiedzieć, czego niby nauczyłem się z tej literatury nauczyć. Człowiek wsadza łeb w taką książkę i nie może go już wyciągnąć. I znowu: to nie jest sprawa identyfikacji z postacią, tylko właśnie takiego zanurzenia. Być może nie ma tutaj jakiejś wielkiej +

tajemnicy, tylko banalny brak przystosowania do świata i gen eskapistyczny. Moja cokolwiek kosmiczna córka również spędziła znaczną część wczesnego dzieciństwa w kraju zwanym Irajskiem, w towarzystwie monstrialnego kota imieniem Lidzia. No, a teraz też dała się nabrać na tę cholerną Narnię. Ja sam dziś już albo nie czytam takich książek, albo nie czytam w taki sposób. Trochę szkoda, a trochę nie szkoda. Szkoda, bo takie zanurzenie to oczywiście wspaniałe uczucie, a nie szkoda, bo potem ludzie się z Ciebie śmieją, jak im coś zaszczynasz opowiadać o martwiakach i kiszonych borówkach. Może zresztą nie należy przesadzać z tą gadką o odrębnych światach: przecież raz po raz okazuje się, że ta czy inna instytucja podejrzanie przypomina Zarząd do spraw Lasu, a w tym czy innym obywatelu mignie nam gnuśny mieszkaniec leśnej wioski. Ale gdybym miał koniecznie spoważnić i trochę się nadać, powiedziałbym chyba rzecz następującą. Może to jest tak, że tamte światy, wielkie, pełne, kompletne, jak ten bulgocący dziką rozmaitością, nieodgadniony świat Lasu, w który wpadł biedny Kandyd, były potrzebne tylko dziecięcemu czytelnikowi. Albo: były potrzebne, żeby go zassać – w tę jedną książkę, ale też w czytanie w ogóle. Kiedy czytam po dorosłemu, nie wpadam już raczej w żadne światy przedstawione, ale w sposób może nie taki całkiem jednak odmienny wpadam w inną przestrzeń, w przestrzeń samej literackiej gry. Nie zanurza się łąba w świecie przedstawionym Procesu, ale w żywiole działań tej powieści, w tym, co ona tam wyprawia. Inaczej mówiąc, Las zastępowałaby teraz sama literatura. To ona, wcale nie na poziomie przedstawiania, tylko swoich mechanizmów i gier, pełna jest skaczących drzew, nagich rusałek leżących w jeziorach, martwiaków i kiszonych borówek. I zupełnie nie wiadomo, jak się z niej wy dostać. No, ale chyba trochę mnie poniosło, a może po prostu za wszelką cenę próbuję wy-

tłumaczyć się z tego, że przez całą podstawówkę traciłem czas na fantastykę. A to przecież skrajny obciach i lepiej się do tego nie przyznawać, jeśli cwaniaki od literatury mają traktować poważnie to, co dziś wypisujesz o Kafce.

**M.L.:** Mechanizmy, gierki, działania – tekstów. Czyli, krótko mówiąc, sprawdzasz, jak literatura jest zrobiona? Demaskujesz techniki jej uwodzenia, oczarowywania? Tak chyba wyglądają powroty do dzieciństwa, do czasów młodości. Analizujemy nasze złudzenia i rekonstruujemy historię pozbywania się złudzeń. Świetnie to pokazał Świdorski. Pożegnanie dzieciństwa. Właśnie! To kapitalny temat! Jak żegnaliśmy dzieciństwo, jak dzisiaj widzimy to długie (albo krótkie) pożegnanie?

**A.L.:** Chyba nie potrafię dokonać takiej rekonstrukcji, nie wiem też, jakich to złudzeń się pozbywałem. Po prostu któregoś dnia, chyba jakiś czas po tym, jak urodziła się moja córka, zorientowałem się, że nie widzę całego tunelu za sobą, aż do samego początku, tylko gdzieś do jakiegoś zakrętu. A co do złudzeń: w kontekście lektur, bo o innych sprawach nie będę przecież z wami gadał, lepiej pewnie byłoby mówić tylko – i aż – o podatności na oczarowanie czy uwiedzenie światami przedstawionymi. Radość z tych światów, które oglądałem wtedy, nadal pozostała, ale tej podatności w odniesieniu do światów nowych już nie mam. Albo inaczej, uległa przeobrażeniu. Bo też nie chodziło mi o demaskowanie mechanizmów uwodzenia. Jasne, jako cwaniaki od literatury lepiej ode mnie wiecie, że w każdym solidnym czytaniu jest moment demaskatorski, coś trzeba odgarnąć, często jest to jakaś najbardziej doraźna warstwa autorskich intencji, warstwa wyobrażeń autora na temat tego, co robi czy ma robić jego książka. Ale jak już się zdoła choć trochę to odgarnąć, rozedrzyć choć



trochę literacką konstrukcję, to otwierają się leśne światy, którym głupio byłoby się opierać. Ja w każdym razie się nie opieram, a przynajmniej nie opieram się tym, którym oprzeć się nie można.

**J.B.:** Wśród cwaniaków od literatury są też tacy, którzy nadal (i pomimo zawodowego skazania) chcą być zwodzeni/uwodzeni, chcą się gubić w dziwnym Lesie i pozwalają się zamykać w tym jedynym rezerwacie wzniosłości. Czy z twojej odpowiedzi mogę wyciągnąć wniosek, że jest jednak łącznik między młodzieżowym zac zadaniem fantastyką, baśniową osobnością a dorosłym zatapianiem się w ekwilibrystycznych działaniach machin powieściowych Kafki i Bernharda i że jest nim jakaś strefa odrębności, unikania liniowego naśladownictwa codzienności? I jeszcze jedno. Jednym z przedmiotów twoich esejów o dorosłych lekturach są utwory Sebald. Czy u niego, wbrew wszelkim pozorom, również najmocniej nie atakuje nas to, że porywa nas na całkowicie szalony poziom metaliterackości? Poziom tak wysoki, że nie mają się go proste schematy myślenia o sobie i świecie?

**A.L.:** Tak, dokładnie o taki łącznik mi chodziło. Może to naciągane, ale jakoś mi się to teraz chwilowo tak widzi. Tylko jeszcze słowo na temat „strefy odrębności” i „unikania codzienności”. My, skubani eskapiści, obawiamy się, że będzie się nam miało za złe takie upodobania. Jako dzieci jesteśmy wobec takich pretensji bezbronni, ale jak dorośliemy i się trochę wycwanimy, to szykujemy sobie taką w miarę oczywistą strategię obrony: tak zwana rzeczywistość to – mówimy – jakaś nieforemna, żenująca bryła, a taka literatura to niby pic na wodę i bujda na resorach, ale cud polega na tym, że z krążenia tego nierealnego żywiołu wytrącić się może coś bardziej realnego niż ta, pozał się Boże, rzeczywistość czy jej „liniowe

naśladownictwa”, że to tam właśnie można domacać się jakiegoś twardszego istnienia. Nikt nam nie wierzy, ale my wiemy swoje. Właśnie u Sebald widać to bardzo wyraźnie. To najwyżej w świecie geniusz, który bez najmniejszego wysiłku – a przynajmniej bez zauważalnego wysiłku – łąduje sobie wśród największych. Jak się go czyta, to się człowiek zastanawia, jak to możliwe, że tego wcześniej nie było. Skoro mowa o odurzeniach: kiedy czytałem pierwsze strony Austerlitz i Pierścieni Saturna, po prostu mnie jak najfizyczniej zatkało. No, i ten Sebald jest absolutnym mistrzem w niekończących się, zawrotnych badaniach nad grą między tak zwaną rzeczywistością a tak zwaną fikcją, między autorem a jego literackimi widmami w osobach narratora i bohatera, między głosem eseistycznym a głosem powieściowym, między cytatem a słowem własnym, także między słowem a fotografią. I z tego nieprawdopodobnego, dialektycznego ruchu wykrusza się czasem to, co najważniejsze, owa grudka rzeczywistości solidniejszej niż rzeczywistość, coś, co nie należy po prostu do tekstu, ale bez tekstu nie byłoby możliwe. Czytelnik, który tego dotknie, zgarnia najwyższą nagrodę. Na zewnątrz, całym swoim smutnym ciałem, tkwi w Zarządzie do spraw Lasu; wewnątrz uwięziony jest w samym Lesie; teraz jednak, dzięki oszałamiającemu ruchowi literackiej gry, dotarł do punktu, który niby jest w środku, ale już na zewnątrz, naprawdę na zewnątrz. Wtedy przez chwilę wie, że jest wolny, że powiodła się jego próba ucieczki.

Poznań–Warszawa, marzec 2011